

IV. ROZMOWY W REDAKCJI

Z Profesorem Henrykiem Olszewskim rozmawia Małgorzata Materniak-Pawłowska

Profesor Henryk Olszewski, dziś jeden z nestorów wśród polskich historyków prawa, należy do postaci wiodących w środowisku. Jest badaczem, nauczycielem akademickim, organizatorem nauki. Przez całe zawodowe życie związany z Uniwersytetem w Poznaniu, wykładał także na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, na Uniwersytecie Szczecińskim, wciąż jest profesorem zwyczajnym w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. Autorytet naukowy przyniosły mu wykłady na uniwersytetach zagranicznych – w Niemczech, Włoszech, Szwecji, Szwajcarii, Austrii, Jugosławii, Księstwie Liechtenstein i Japonii. Jest członkiem rzeczywistym Polskiej Akademii Nauk oraz członkiem Polskiej Akademii Umiejętności. Jest członkiem Komitetu Nauk Prawnych i Komitetu Nauk Politycznych PAN. Należy do licznych organizacji i towarzystw naukowych za granicą. Europejski Uniwersytet Viadrina we Frankfurcie nad Odrą oraz Uniwersytet Jagielloński nadały mu godność doktora honoris causa. Pełnił odpowiedzialne funkcje – był prodziekanem i dziekanem na macierzystym Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, wieloletnim członkiem Konwentu Godności Honorowych, założycielem i wieloletnim kierownikiem Katedry historii doktryn politycznych i prawnych, prezesem Kuratorium Instytutu Zachodniego im. Zygmunta Wojciechowskiego w Poznaniu, członkiem Polsko-Niemieckiej Komisji do spraw podręczników szkolnych z historii i geografii przy UNESCO. Należy do komitetów redakcyjnych kilku renomowanych periodyków naukowych. Przez ponad półwiecze związany był z „Czasopismem Prawno-Historycznym”: w latach 1961-1977 jako sekretarz redakcji, w latach 1977-2014 jako redaktor. Jest odznaczony Medalem Oswalda Balzera, Medalem „Palmae Universitatis Studiorum Posnaniensis” oraz Złotą Odznaką Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Henryk Olszewski urodził się w 1932 roku w Świeciu. Studiował prawo na Uniwersytecie Poznańskim w latach 1950-1954. W roku 1959 obronił doktorat na podstawie rozprawy pt. *Ustrój polityczny Rzeczypospolitej w pogłądach szlachty (1697-1740)*, napisanej pod kierunkiem profesora Zdzisława

Kaczmarczyka, w roku 1966 habilitował się na podstawie pracy pt. *Sejm Rzeczypospolitej epoki oligarchii. Prawo – praktyka – teoria – programy*. Praca była wyróżniana i doczekała się ponad 40 recenzji i artykułów recenzyjnych. W 1976 roku Henryk Olszewski został profesorem nadzwyczajnym, w 1986 – profesorem zwyczajnym.

Profesor Henryk Olszewski jest badaczem historii ustroju i prawa oraz historii idei. Ostatnio jego zainteresowania badawcze coraz częściej kierują się w stronę historii nauki. Opublikował ponad 670 prac naukowych. Najważniejszymi w jego twórczości tekstami są książki: *Doktryny prawno-ustrojowe czasów saskich* (1961), *Sejm Rzeczypospolitej epoki oligarchii 1652-1763. Prawo – praktyka – teoria-programy* (1966), *Historia doktryn politycznych i prawnych. Podręcznik akademicki* (1 wyd. 1973, potem we współautorstwie z Marią Zmierczak, od 2004 we współautorstwie z Krystyną Chojnicką), *Nauka historii w upadku. Studium o historiografii i ideologii historycznej w imperialistycznych Niemczech* (1982), *O skutecznym rad sposobie* (1989), *Marszałkowie poselscy dawnej Polski* (1990), *Zwischen Begeisterung und Widerstand. Deutsche Hochschullehrer und der Nationalsozialismus* (1990), *Instytut Zachodni 1944-1994* (1994), *Słownik twórców idei* (1998), *Sejm w dawnej Rzeczypospolitej, Ustrój i idee* (2 tomy, 2002), *Zdzisław Kaczmarczyk 1911-1980* (2005).

Małgorzata Materniak-Pawłowska: Pana naukowe zainteresowania obejmują liczne zespoły tematyczne. W ostatnich latach coraz częściej poświęcał Pan uwagę historii nauki, w szczególności historii nauk historyczno-prawnych w Polsce po drugiej wojnie światowej. Tym kompleksem problemów zajął się Pan w swoim referacie, wygłoszonym na XXV Zjeździe Historyków Prawa w Krakowie.

Henryk Olszewski: Historia Polski Ludowej, o której mówiłem w czasie Zjazdu, zawsze mnie interesowała. Jest powikłana i nie poddaje się prostym ocenom; do dziś budzi też emocje zbiorowe. Młodym ludziom, również wielu adeptom nauki, wydaje się ciągle *terra incognita*. Można to zrozumieć. Chodzi o czas, w którym nowe państwo – produkt zakończonej w 1945 r. wojny i niechcianej rewolucji – musiało na nowo definiować relacje także między polityką a nauką oraz stosunek do środowisk uczonych, do nauki i młodzieży studiującej. Powiedzmy sobie od razu na wstępie, że relacje te w znikomym stopniu dają się odczytać z aktów normatywnych, w wielu przypadkach normy są zakłamane, celowo wprowadzają w błąd; dla poznania prawdy trzeba poznać ducha czasu, trendy epoki, praktykę. Wiadomo, że komunistycz-

ne państwo stawiało sobie za cel podporządkowanie elit, chciało poddać je partyjnemu i administracyjnemu „nadzorowi”. O nauce historii „pod nadzorem” pisał przed laty Rafał Stobiecki, wybitny historyk historiografii. Sądzę, że pojęcie „nadzór” zbliża do istoty polityki, która *grosso modo* polegała na kontrolowaniu tej dyscypliny przez „ujednolicanie” jej miejsca w nauce i nauczaniu. Uważam, że jest ono trafne także w odniesieniu do nauk prawnych i – w ich ramach – do dyscyplin historyczno-prawnych.

Czy tych spraw dotąd nie badano?

Długo stan badań nad tym zespołem zagadnień był dość skąpy. Dopiero w ostatnim ćwierćwieczu, czyli w latach ustrojowej transformacji, ukazały się pojedyncze studia krytyczne nad nauczaniem i nauką prawa w Polsce Ludowej. Mamy już krytyczną, rzeczową, choć z natury lakoniczną, ocenę badań historyczno-prawnych w akademickich podręcznikach Adama Lityńskiego i Waława Uruszczaka. Wartość poznawczą posiadają studia Witolda Wołodkiewicza i Stanisława Salmonowicza, pisaliśmy o tym z Krystyną Dziegielewską. Wysoko cenię wspomnienia, które ostatnio opublikował Stanisław Grodziski. O kształceniu prawników ogólnie trochę pisał Piotr Kłabczynski w warszawskich „Studia Iuridica”. Wciąż jednak mamy deficyt prac traktujących o klimacie lat pięćdziesiątych w nauce i nauczaniu na polskich uniwersytetach. Jestem jednym z nielicznych już reprezentantów tego pokolenia, które świadomie przeżyło lata pięćdziesiąte na uniwersytecie, dlatego uznałem, że powinienem podzielić się wiedzą i doświadczeniem o tamtych czasach z tymi, którzy weszli do środowiska po mnie. XXV Zjazd w Krakowie, który zgromadził prawie całe środowisko historyczno-prawne, był dobrą po temu okazją.

Nie mogło być moim zadaniem wypełnienie występujących w literaturze luk. Nie prowadziłem kwerend archiwalnych. Opierałem się na publikacjach i własnej pamięci. Dotykałem tylko niektórych kwestii, choć każda jest ważna, każda zasługuje na opracowanie monograficzne. Więcej było o nauczaniu, mniej o nauce. Więcej o odbiorze form indoktrynacji, mniej o niej samej jako funkcji totalitarnego państwa. Interesowały mnie programy nauczania i ich poziom, klimat w salach wykładowych, postawy w środowisku, życie „poznanaukowe”. Starałem się koncentrować na historii i historykach prawa. Za materiał ilustracyjny służył w najwyższym stopniu Wydział Prawa, z którym byłem związany, czyli Wydział Prawa Uniwersytetu w Poznaniu. Zdawałem sobie oczywiście sprawę z tego, że krótkość dystansu nie musi być gwarantem precyzji ocen, ale przecież i wpływ lat takiej gwarancji nie daje. Problemy trzeba nadal gruntownie badać. Jesteśmy dopiero u ich początku.

Jakie założenia tkwiły u punktu wyjścia Pana wywodów? Nadzór i indoktrynacja niekoniecznie muszą znaczyć to samo.

Są bliskoznaczne; jedno warunkuje drugie. Pierwsza moja teza odnosi się do ram chronologicznych zagadnienia. Zastanawiam się, czy my nie popełniamy błędu, błędu uproszczenia, w ocenie periodyzacji lat stalinizmu. Nie mam na myśli cezury *a quo* zorganizowanej indoktrynacji. Ona faktycznie trwa od schyłku lat czterdziestych. Czy jednak październik 1956 r. można traktować jako przełom? Październikowa odwilż była równie spektakularna i ważna, co krótkotrwała i pozorna. Powiedziałbym, że nie tyle osłabiała ona sferę nauki i nauczania „pod nadzorem”, ile wręcz sprzyjała jej ugruntowaniu. Oczywiście nie lekceważę zmian, jakie wprowadzono za „wczesnego Gomułki”, ale i ich nie przeceniam. Prawda, że uczelniom oferowano elementy autonomii. Powrócili z banicji niewygodni profesorowie. Zniesiono dyscyplinę studiowania, ale pozostały stalinowskie kryteria naboru na studia, a na rynku pracy dla absolwentów nadal rządziła partia. Uniwersytet Wrocławski mógł wyrzec się patrona w osobie Bolesława Bieruta, a Senat UP potrafił obronić się przed nadaniem mu nazwy Uniwersytetu im. Feliksa Dzierżyńskiego. Senaty uzyskały prawo wyboru rektora, a rady wydziału – wyboru dziekana. Ale przecież wiadomo, że o wynikach tych wyborów decydowano nadal w komitetach partyjnych, których wyrazicielem woli były coraz liczniejsze i wpływowe uczelniane i wydziałowe organizacje partyjne. Przekonał się o tym wybrany wbrew instancjom partyjnym UAM dziekanem profesor Józef Matuszewski, któremu *de facto* uniemożliwiono sprawowanie urzędu. Pogarszał się klimat, wzrastało znaczenie PZPR, jako że m.in. na fali popaździernikowych liberalnych haseł, które przyciągały do szeregów partyjnych coraz więcej pracowników i w związku z tym, że partyjni studenci, którzy łatwiej zostawali asystentami, potem adiunktami, docentami i profesorami, rósł wpływ partii na decyzje w uczelni. Miało to ten skutek, że drastyczne środki presji z zewnątrz można było łagodzić, ukrywać i zastępować siłami samego środowiska. Moja teza zatem brzmi: funkcjonowanie uniwersytetu „pod nadzorem” było stanem trwałym, co więcej – systematycznie umacniającym się aż po lata siedemdziesiąte. To rzecz jasna nie wyklucza, że lata kultu Stalina i stalinizmu – czyli okres od 1949 do 1955/6 – stanowiły jego apogeum, były okresem „rozkwitu” budowy czerwonego uniwersytetu i polityki „nadzoru”, czyli takiej, w którym przeważały represyjne, pochodzące z zewnątrz formy indoktrynacji.

Wspominał Pan o pokrewieństwie systemów totalitarnych na polu nauki i nauczania

Miejsce polskiego stalinizmu w obszarze nauki i szkolnictwa wyższego w systemie innych ustrojów totalitarnych w Europie jest ewidentne. Zrozu-

miałem tamten czas w pełni dopiero, kiedy zacząłem badać historię uniwersytetu w III Rzeszy i poprzez te badania zapoznawać się z podporządkowaniem państwu (partii) szkolnictwa wyższego w ZSRR. Stan badań jest tu pełen deficytów, nie mamy rzetelnych studiów komparatystycznych, istniejący stan wydaje się jednak niezadowalający, jest bowiem albo niedorysowany albo przerysowany. Walka z uniwersytetami, z zasadą wolności badań, kontrola nad strukturami, były wszędzie takie same. To druga moja teza: Polska Ludowa szła śladem swych sąsiadów, którzy narodowosocjalistyczny i komunistyczny uniwersytet budowali w latach międzywojnia. Każda przyszła synteza traktująca o zjawisku totalitaryzmu i obejmująca relacje między władzą a sferą nauczania i nauki, będzie pewnie miała te same rozdziały i kończyć się będzie podobnymi wnioskami; tylko w „prehistorii” fenomenu i w czasie jego rozkładania się występowały różnice.

Jaki wniosek się tu nasuwa?

Jak wspomniałem przed chwilą, tkwi on w przeświadczeniu, że Polska Ludowa znała wszystkie sprawdzone w totalitarnych ustrojach formy „ujednolicania” (*Gleichschaltung, urawniłowka*) nauczania i nauki. Elementy terroru i wewnętrznej zgody na czerwony uniwersytet współistniały z sobą, uzupełniały się i ścierały. Ich relacje wzajemne różniły się wszelako od tych w sąsiednich krajach. Polska nie była „przygotowana” do zgody na komunizm; jego przymusowy import budził sprzeciw i wymagał represji. Za to kiedy się zakorzenił, usunięcie jego elementów trwało dłużej.

Przejdźmy zatem do meritum rozważań. Wiadomo, że przed wybuchem drugiej wojny światowej kształcenie prawników odbywało się w Polsce wyłącznie na uniwersyteckich wydziałach prawa – w Krakowie, Lwowie, Wilnie, Warszawie, Poznaniu i Lublinie. Opierało się ono na rozporządzeniu Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z 16 października 1920 r., a czteroletni program miał kształcić bardziej prawników-humanistów niż praktyków i do końca II Rzeczypospolitej był ostro krytykowany w środowisku. Przedmiotem tych sporów – w które zaangażowały się największe autorytety nauk prawnych – było m.in. a nawet może przede wszystkim miejsce przedmiotów historyczno-prawnych w programie studiów prawniczych. W jakim kierunku szły zmiany po roku 1945?

Wojna i jej rezultaty musiały zmienić stosunek nowego państwa do nauki i uczonych, do prawników w szczególności. Z jednej strony prawnik stał się symbolem niepożądanego i odrzucanego tradycji; został uznany za podporę dawnego „burżuazyjnego” ładu i stąd wroga socjalizmu, ale z drugiej był pilnie potrzebny; otrzymał misję jednego z budowniczych nowego ustroju i gwaran-

ta stabilności „frontu ideologicznego”. W tym celu wymagał szczególnie starannego podporządkowania partii komunistycznej i administracji państwa. Zadanie było trudne, wymagało czasu i choćby dlatego nie mogło pomijać drogi legalizmu i odżegnywać się od poszanowania dobrych akademickich tradycji. Stąd władza jeszcze w 1947 r. ostantacyjnie obwieszczała wolność badań naukowych i obłudnie gwarantowała zachowanie demokratycznych struktur w szkołach akademickich. Podkreślmy, że skrajne projekty bliskich władzy mentorów (takich jak Mieczysław Siewierski czy Stanisław Śreniowski), drukowane na łamach „Państwa i Prawa”, w których proponowano „zerwać z ograniczeniami programu uniwersyteckiego do wykładu ogólnych przedmiotów prawnych”, „dopuszczyć w szerszym zakresie nauki społeczne” (czyli marksizm i wspomagające go przedmioty) oraz „zerwać z przeładowaniem programu przedmiotami prawno-historycznymi” nie zostały zrazu wprowadzone do praktyki. Dopiero ustawa z 15 grudnia 1951 r. o szkolnictwie wyższym i o pracownikach nauki, wprowadzając radziecki model organizacji nauki i sowiecki system nadawania stopni naukowych, przygotowała formalne pole pod dalsze reformowanie, zarówno nauki, jak nauczania, także prawników. Bo wtedy ten grunt był już przygotowany za pomocą polityki represji. Polegała ona na oczyszczaniu uczelni z elementu politycznie niepożądanego. Wielu profesorów zostało wtedy wysłanych na przymusową emeryturę. Na Wydziale Prawa UP byli to Edward Taylor, Stefan Rosiński, Stanisław Kasznica, Marcin Nadobnik, Roch Knapowski, a z historyków prawa Zygmunt Lisowski i Tadeusz Silnicki. Z akcji relegowania studentów największa – w roku 1947 – była odwetem za udział w manifestacji dla upamiętnienia Konstytucji 3 Maja.

Kiedy i za pomocą jakich instrumentów indoktrynowano „sale wykładowe”?

I tu zmiany nie przyszły od razu; także w nauczaniu przeważały zrazu elementy kontynuacji. Przypomnieć należy, że program pierwszego po wojnie rocznika studiów – 1945/46 – nawiązywał do rozporządzenia MWRiOP z 12 sierpnia 1939 r., które notabene ogłoszone zostało dopiero po wojnie. Charakteryzował ten program Piotr Kłaboczny. Z tego względu nie opisuję go. To się miało jednak zmienić. Zmiany były wymuszane przez braki kadrowe, spowodowane wojną, ale ich siłą napędową była nade wszystko nieufność władzy ludowej wobec przedwojennej kadry w wymiarze sprawiedliwości, o której wspominałem przed chwilą. Ten wzgląd nakazywał tworzyć szkoły prawnicze nieakademickie dla potrzeb chwili. Wiadomo, że swoistym ukoronowaniem tego trendu było powołanie do życia Wyższej Szkoły Prawniczej im. Teodora Duracza.

Ważnym etapem indoktrynacji stał się schyłek lat czterdziestych, kiedy to władza uzyskała decydujący wpływ na skład młodzieży studiującej po wpro-

wadzeniu egzaminów wstępnych, eliminujących element „klasowo obcy”. Prawie co roku odgórnie reformowano program studiów. Zniknęły niektóre dawniej wykładane przedmioty, inne się przepoczwarzyły, zmieniając nazwę i treść, wreszcie pojawiały się nowe, oddające ducha czasu: materializm dialektyczny i historyczny, historia filozofii marksistowskiej, ustrój ZSRR, historia WKPb. Usunięto z programu prawo wyznaniowe i prawo rzymskie. Ministerstwo uznało – cytuję tu Kłaboczego – że „dotychczasowy system wykładu prawa rzymskiego [jest] wysoce szkodliwy, albowiem zaraża on psychikę młodego prawnika formułami myślenia magicznego z równoczesnym zatraceniem zrozumienia prawa jako jednej z nauk społecznych”.

Czy możliwe byłoby bliższe przedstawienie obowiązującego wtedy programu studiów prawniczych?

Zaglądam do swojego indeksu za lata 1950-1953: na I roku – materializm dialektyczny i historyczny u H. Cieśluka – 3 godziny tygodniowo; teoria państwa i prawa u Cz. Znamierowskiego – 4 godz. tygodniowo; powszechna historia państwa i prawa u M.Z. Jedlickiego – 6 godzin tygodniowo; historia państwa i prawa polskiego u Z. Wojciechowskiego i Z. Kaczmarczyka – 4 godziny tygodniowo; logika u Cz. Znamierowskiego – 2 godziny tygodniowo; ekonomia polityczna u Kruszczyńskiego – 4 godziny tygodniowo oraz prawo państwowe u A. Peretiatkowicza – też 4 godziny. Z wszystkich przedmiotów obowiązkowe były ćwiczenia, ponadto lektoraty z rosyjskiego i języka zachodniego, zajęcia wf i studium wojskowego (te ostatnie w wymiarze 5 godzin tygodniowo). Na II roku: materializmu dialektycznego i historycznego oraz ekonomii politycznej i prawa państwowego ciąg dalszy, a ponadto ustrój ZSRR, prawo karne materialne i procesowe (4 godziny), część ogólna prawa cywilnego, zobowiązania i prawo rzeczowe, prawo administracyjne, organizacja wymiaru sprawiedliwości, prawo ubezpieczeń rzeczowych i osobowych, prawo spółdzielcze, kryminalistyka i medycyna sądowa oraz – uwaga – historia źródeł prawa cywilnego od czasów rozbiorów (Z. Radwański). Naturalnie także ćwiczenia wf, wyszkolenie wojskowe i lektoraty. Na kierunku cywilistycznym był wykład zlecenie i pełnomocnictwo. Na roku III: prawo rodzinne i spadkowe, prawo finansowe, prawo administracyjne, postępowanie cywilne, prawo międzynarodowe publiczne, prawna organizacja przedsiębiorstw, prawo międzynarodowe prywatne, prawo pracy.

A miejsce historii prawa. Było poważne?

W latach 50. miejsce historii prawa w programie studiów prawniczych było znaczące. Więcej nawet – zajmowało poważne, centralne miejsce. Powszechna historia państwa i prawa była w nim obecna w wymiarze 150 godzin wy-

kładu i 60 godzin ćwiczeń, zaś historia ustroju i prawa polskiego w wymiarze 120 godzin wykładu i 60 godzin ćwiczeń. Wykład Jedlickiego, znakomicie sprofilowany i świetnie wygłaszany, stanowił dla studenta I roku prawdziwe przeżycie, był wzorowym nawiązaniem do najlepszych tradycji akademickich. Nie wszyscy jednak wykładowcy traktowali ministerialne dyrektywy z jednakową starannością. Wojciechowski np. kończył wykład na teście Krzywoustego, zaś Kaczmarczyk, który rozpoczynał od Artykułów Henrykowskich, w wielkim pośpiechu zamykał go komentarzem do Konstytucji 3 Maja. W semestrze letnim 1952/53 przywrócono nieoczekiwanie prawo rzymskie. Był to ostatni i bardzo trudny egzamin, który składaliśmy już po obozie wojskowym jako podchorążowie rezerwy.

Program prawnych studiów nie daje się sprowadzić do prostych ocen, choćby dlatego, że bywał wciąż modyfikowany. Z jednej strony mocno zideologizowany, nasycony socjalistyczną propagandą, i dostosowywany do bieżącej polityki socjalistycznego reżimu, z drugiej nigdy nie spełniał wszystkich dezyderatów władzy. Był też przez środowisko przyjmowany (akceptowany) z rezygnacją i zastrzeżeniami. Środowisko nie buntowało się, ale pozostało sceptyczne i nie ustawało w wysiłkach, by osłabić jego negatywne społecznie skutki.

Czy trzyletnie studia stanowiły udany eksperyment? Czy dawały wykształcenie prawnicze na miarę swojego czasu?

Warto zwrócić uwagę na fakt, że w latach 1952/54 funkcjonowały studia drugiego stopnia. Implikacje polityczne przy ich tworzeniu nie ulegają wątpliwości. Była to akcja równoległa do likwidowanych wtedy szkół nieakademickich i rozwiązania Akademii im. T. Duracza. Kandydaci na studia drugiego stopnia byli oczywiście sprawdzani politycznie – nie mogli mieć złych „papierów”, ale – musieli też być akceptowani przez promotorów i dysponować dobrym indeksem. Mieli tworzyć kadre naukowe, której władze pilnie potrzebowały. Dotyczy to znów także historii prawa. Specjalizacje historyczno-prawne uruchomiono w Warszawie i Poznaniu; wybrani studenci poza przedmiotami ideologicznymi słuchali wykładów specjalistycznych, takich jak źródła do historii państwa i prawa polskiego, zarys nauk pomocniczych historii, historia państwa i prawa zachodniopomorskiego, Statuty Kazimierza Wielkiego. Tu w czasie wykładów i seminariów o dominacji marksizmu nie było już mowy. Absolwentami studiów II stopnia, po których uzyskiwano stopień magistra, byli m.in. Jan Baszkiewicz, Katarzyna Sójka-Zielińska, Stanisław Waltoś, Stanisław Płaza, Wiesław Litewski, mówiący te słowa. Przeciwnieństwem była uruchomiona w 1954 r. aspirantura przy Polskiej Akademii Nauk, która przez cały pierwszy rok przewidywała wyłącznie studia nad dziełami klasyków.

Wróćmy do atmosfery. Indoktrynacja z pewnością nie wpływała na nią dodatnio.

Klimat się systematycznie pogarszał. Następstwem egzaminów wstępnych była dyscyplina studiów, której naruszenie pociągało za sobą kary. Pracujący zawodowo studenci byli zwalniani z obowiązku uczęszczania na wykłady tylko wtedy, jeżeli ich zakłady pracy o to formalnie wносиły. Raz w tygodniu należało uczestniczyć w zajęciach studium wojskowego. Udawanie żołnierza było dolegliwością, która wywoływała niezadowolenie, a sporadycznie nawet bierny opór, choć uzyskany po studiach stopień oficera zwalniał potem od czynnej służby wojskowej. Pamiętam, że na UP pierwszym dowódcą Studium Wojskowego był oficer, major oddelegowany z LWP, który nosił polski mundur, ale mówił wielce łamaną polszczyzną. Podobnie obowiązkowe były zajęcia z wychowania fizycznego i lektorat języka rosyjskiego. Władze ministerialne, ale i uczelniane, wykazywały niezrównane pokłady inicjatywy, by odgórnie organizować czas wolny studentów. Życie studenckie było poddawane systematycznej kontroli, na straży której działał wyrafinowany system kar dla „bumelantów” i pochwał dla „przodowników studiów”. W Uniwersytecie Poznańskim otwarto w 1950 r. biuro delegata Urzędu Bezpieczeństwa (pod nazwą Działu Nauczania), który strzegł socjalistycznej „praworządności”, przyjmował donosy i pisał raporty o atmosferze w Uczelni. Studenci byli zobowiązani do wykazywania się aktywnością w popieraniu polityki partii: uczestniczyli w zalecanych czynach społecznych (wykopki, żniwa), brali udział w manifestacjach, takich jakie odbywały się 1 maja, w rocznice rewolucji październikowej czy urodzin Stalina. Z ważnych okazji wszyscy do czegoś się zobowiązywali: profesorowie i asystenci zobowiązywali się np. do dodatkowych konsultacji udzielanych studentom czy do wzmoczonej opieki nad kołem naukowym, studenci podejmowali zobowiązania dotyczące uczęszczania na repetytoria, do pracy na budowach socjalizmu czy przedterminowego zakończenia sesji egzaminacyjnych; z reguły w takich zobowiązaniach podawano kwoty zaoszczędzonych tą drogą środków. Fikcyjność była tu pełna.

Czy moglibyśmy – na zakończenie naszej rozmowy – wymienić kilka uwag o nauce historii prawa i o uczonych tamtego okresu?

Kiedy przekraczaliśmy progi katedr historii prawa, poznawaliśmy inny świat, właśnie wtedy. Profesorowie żyli przeszłością. Pamiętajmy, jak silnie lata drugiej wojny światowej przerzedziły szeregi uczonych, także historyków prawa. Nie przeżyli wojny lub zmarli wskutek wojennych przeżyć wybitni uczeni naszych dyscyplin: Władysław Abraham, profesor i rektor UJK znawca prawa kościelnego i kanonicznego, Stanisław Estreicher (UJ), zamęczony w Sachsenhausen, Stanisław Kutrzeba, profesor i rektor UJ, Józef Rafacz, znakomity

badacz dziejów prawa, dziekan Tajnego Wydziału Prawa UW, rozstrzelany w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego, Józef Siemieński, dyrektor Archiwum Głównego w Warszawie i profesor UJ, więzień Oświęcimia. W Oranienburgu zamordowany został docent Marian Kniat, pierwszy uczeń Jana Rutkowskiego, wywieziony do obozu w tydzień po habilitacji uzyskanej przed Radą Wydziału Prawa UP na Tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich. Ale przecież żyli i byli w rozkwicie pełni sił twórczych ich uczniowie. W Poznaniu byli wśród nich starzy profesorowie, w części ojcowie-założyciele Wszechnicy Piastowskiej. Ich stosunek do władzy był niechętny. Po wojnie wielu z nich zostało poddanych represjom. Niektórzy mieli politycznie nieuprawnione epizody w życiorysie – udział w wojnie bolszewickiej 1920 r. (Jedlicki, Wojciechowski), byli żołnierzami Armii Krajowej (Witold Sawicki), czas wojny spędzili na Zachodzie (Vetulani, Sczaniecki). Inni musieli się przekwalifikować, bo byli badaczami w dyscyplinach, które władze uznawały za podejrzane i niebezpieczne. Na jeszcze innych ciążył zarzut nacjonalizmu i katolicyzmu (Michał Wyszyński, Leszek Winowski, Tadeusz Silnicki). Dla pierwszych długo nie było miejsca na socjalistycznej uczelni (Sawicki, Winowski), drugich pozbawiano możliwości wykładania swoich dyscyplin (Vetulani), innych odrywano od macierzystych uniwersytetów i „ostrzegawczo” przenoszono na inne, z niektórymi zawierano swoisty kompromis. Jego przykładem było tolerowanie Wojciechowskiego, którego antyniemieckie badania i teoria macierzystych ziem Polski nad Odrą i Bałtykiem harmonizowała z polityką integrowania ziem odzyskanych w 1945 r.

Uczeni na ogół do marksistów nie należeli, ale i przeciwko marksizmowi się nie zwracali, bo i takiej możliwości nie było. Formalnie i fasadowo wykorzystywano jego dyrektywy oraz zapełniano pola niszowe, takie, których przed wojną albo wcale nie uprawiano w historii prawa, albo uprawiano rzadko. Zwracano się ku historii społecznej i społeczno-gospodarczej, ku historii Pomorza i Śląska, szukano postępowych tradycji w ideologii, badano instytucje władzy szlacheckiej, ucisk chłopów i mieszczan. Pozostały wartościowe studia z historii prawa, wydawano źródła; nigdy później nie poświęcono im już tyle miejsca. Badaniami objęto przede wszystkim dawną Polskę. Słusznie pisze Waław Uruszczak, że tam, gdzie badania opierały się na źródłach, zachowały one wartość poznawczą. Gorzej przedstawia się dorobek historyków prawa w zakresie badań nad wiekiem XIX i Polską Odrodzoną w 1918 r., choć i tu nie brak opracowań analitycznych, pionierskich i twórczych. O tym, że historia prawa była w miarę bezpieczną niszą, która skutecznie broniła się przed indoktrynacją, świadczy fakt, że przyjmowała ona do swego środowiska uczonych z dyscyplin, które miały być „szpicą” „frontu ideologicznego” na Wydziale – np. konstytucjonalistów i teoretyków. Niektórzy z nich związali się z historią prawa już na trwałe. Należał do nich na przykład Konstanty Grzybowski.

Czyli nie był to – przynajmniej w historii prawa – czas stracony?

O kategorię ocenę za wcześnie. Zjawiska i przeobrażenia, o których rozmawiamy, wciąż trzeba badać. Dwie uwagi wszelako wydają mi się bliskie. Pierwsza to stwierdzenie, że nie był to zatem czas dla nauk historyczno-prawnych stracony całkowicie. Potencjał dyscyplin historyczno-prawnych był wielki. Pod opieką starych mistrzów rosło nowe pokolenie badaczy, którzy szlify naukowe zdobywali już po wojnie. Prawda, że zafascynowanie marksizmem nie było niektórym z nich obce, z reguły stanowiło ono jednak stan przejściowy, który pozwalał im z czasem powrócić do środowiska. Wynikało to z faktu, że osoby politycznie odpowiedzialne za stan środowiska, prowadziły działalność naukowo-badawczą, czuły się częścią środowiska i umiejętnie potrafiły dokonywać wyborów mniejszego zła. Druga kwestia wiąże się z pytaniem, czy złe doświadczenia tamtego okresu nie wracają do nas wraz z lansowaną przez władze reformą szkolnictwa wyższego i nauki ostatnich lat, która pośród elementów biurokratycznych, celowanego finansowania badań, formalnej wyceny rezultatów badań czy administracyjnych ograniczeń nie wnosi do nauki i nauczania tradycji korporacyjnych, opartych na zasadach marketingu i zysku. Stąd nie tak daleko do reanimacji zasad „nadzoru”.

Dziękuję za rozmowę.